Tom X. Nr. 18.

21. czerwca 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Niewola pogańska.

III.

Bracia Żurkowscy.

Opowiedziałem już wam, kochani bracia, historye dwie o niewoli tatarskiej, teraz zaś posłuchajcie trzeciej, w której opiszę wam dziwne przytrafunki dwóch braci, co się zwali Żurkowscy.

Ci dwaj bracia Żurkowscy byli to chwaty jakich mało, a gdzie tylko szło o to, aby wroga jak się patrzy poczubić, to już ich tam pewno prosić nie było trzeba. Kiedy w roku 1595 wybrał się wielki wojownik i sławny Polak Jan Zamojski do Multan przeciw Tatarom, obaj Żurkowscy porzucili dom zaraz i przypasawszy szable ojcowskie nuż na dzielnego konika i dalej na wojenkę za panem Zamojskim!

Okrutna ćma Tatarstwa zaszła drogę polskiemu wojsku, było tam tego pogaństwa więcej jak siedemdziesiąt całych tysięcy — ale nic naprzeciw polskiej, ochrzczonej szabli wskórać

nie mogli. Co się porwali na Polaków, to zaraz zmykać musieli co tchu na wszystkie strony, choć pięć razy więcej mieli wojska niż nasi.

Obaj bracia Żurkowscy nie żałowali też ręki, ale gdzie tylko się jaki poganin nawinął, zaraz go częstowali po polsku. Niemało też nabili Tatarów, ale jak to mówią, kij ma dwa końce a nieszczęście nie po górach ale po ludziach chodzi.

Tak się też stało i z Żurkowskimi. Razu jednego wyjechali oni wraz z kupką polskich wojaków za obóz, aby gdzie przydybać i nakropić tęgo Tatarów — aleć naraz obskoczyła ich taka chmara tej szarańczy, że ani rusz dać sobie z nią rady.

Nie dawali się długo, bili się jak lwy i nasiekali mnóstwo łbów pogańskich, ale w końcu osłabła im ręka i już dalej bić się nie mogli, bo co jednego utłuką, to dziesięciu nowych bisurmanów przybędzie. Wreszcie tak ich Tatarzy do koła obskoczyli, że już nie było ratunku. Zaraz ich tedy zwlekli z koni poganie, poodbierali im szablę i skrępowali powrozami ręce, przywiązali do swych koni, ta pognali biedaków ze sobą do niewoli.

Tak pędzili Tatarzy obu Żurkowskich jak bydło za sobą, aż zapędzili do pogańskiego kraju, do Perekopu. Zapłakali biedni bracia za Polską i westchnęli do Boga, bo wiedzieli dobrze, że już nie tak prędko a może i nigdy nie obaczą ukochanej ziemi ojczystej!...

A tu poganin łży i poniewiera nimi, zdziwia się i wymyśla, do ciężkich robót napędza i głodem morzy!.. Jeszczeć gdyby bracia Żurkowscy mieli byli majątek i pieniądze, toby się byli mogli wykupić, bo Tatarzy strasznie łakomi byli na złoto i kto im się setnie opłacił to go puszczali do domu. Ale cóż, Żurkowscy nie mieli nic w domu, jeno gruntu szmatkę, chatę po dziadach, szablę dobrą i konie chwackie. Złota u nich nie było — bo też nie dobijali się nigdy o złoto.

To też trzeba się było na zawsze pożegnać z polską ziemią i służyć Tatarom do śmierci. Zaraz bowiem, jak tylko stanęli na ziemi pogańskiej, przywołał ich do siebie starszy tatarski i zapytał:

— No wy psy chrześcijańskie! Ile mi dacie pieniędzy, abym was puścił wolno?...

Bracia Żurkowscy westchnęli ciężko i rzekli:

— Nie mamy pieniędzy, nie mamy złota, bo u nas w Polsce chleb tylko i żelazo!

Rozgniewał się strasznie starszy tatarski, bo myślał, że Żurkowscy jeno tak umyślnie udają, aby się wykpić za darmo i zawołał:

— A więc gińcie marnie psy chrześcijańskie! Jedyny wasz ratunek jeśli się opłacicie — jak nie to was przedam jak bydło!

A bracia Żurkowscy na to:

— Niech się dzieje wola Boga, który nas wydał w ręce pogańskie! On nas może wybawi z niewoli!...

Ale rozwścieklony starszy tatarski jak rzekł, tak zrobił. Zwołał takich pogan jak sam, co się trudnili handlem pojmanych chrześcijan i przedał obu biedaków.

Kupcy wzięli zaraz z sobą Żurkowskich i popędzili ich aż do tego miasta, gdzie sam cesarz czyli sułtan turecki mieszka, do Stambułu. Tu ich jeszcze straszniejsza czekała dola.

Bo trzeba wam wiedzieć, kochani ludkowie, że Turek niecnota nietylko na lądzie ale i na morzu trapił i napastywał chrześcijan — i dla tego trzymał sobie okręta, co się zwały galery.

Te galery to były okrutnej wielkości czółna, na które wsiadało wojsko tureckie i uganiało się po morzu za chrześcijańskiemi okrętami. Zaś okręta czyli galery tureckie pływały za pomocą wioseł, co były przy każdym boku. Otóż temi wiosłami musieli robić chrześcijanie, których połapali poganie. Koło każdego wiosła pracować musiało pięciu niewolników, a że takich wioseł na każdej galerze było ze pięćdziesiąt, więc mnóstwo biednych chrześcijan musiało przy nich przelewać pot swój krwawy.

Każdego zaś takiego niewolnika znaczyli Turcy rozpalonem żelazem i przykuwali żelaznemi łańcuchami do okrętu, aby przypadkiem z rozpaczy sam nie skoczył do głębokiego morza.

Oj okropnaż to była dola takiego biedaka, co musiał robić przy wiośle na okręcie tureckim!... Bo to jak te galery tureckie na morze wypłynęły, to już każdy niewolnik dzień i noc pracować musiał, i nie jadł i nie spał i jeszcze bicia od pogan doznawał!...

Ale i to nie wszystko. Turcy jak wypłynęli na morze a spotkali gdzie jaki okręt chrześcijański, to poczęli do niego z armat strzelać, które mieli z sobą, aby go obrabować i zatopić. Zaś chrześcijanie bronić się musieli, ta strzelali także okrutnie na Turków, a wszystkie kule to akuratnie tam biły, gdzie ci biedni niewolnicy chrześcijańscy przy wiosłach pracowali.

To też nietylko, że taki jeden i drugi chrześcijanin wśród głodu i pracy służyć musiał Turkom jak pies na łańcuchu, ale eszcze do tego musiał się spodziewać, że lada chwila zginie od kuli własnych braci Chrześcijan.

Otóż taka ciężka dola trafiła i obu braci Żurkowskich. Przykuto ich do okrętu jak psy i kazano robić im wiosłami. Gorzko też płakali obaj i prosili Boga o pomoc a nieraz, to ich i grzeszne myśli nachodziły.

I tak gdy ich przykuto do okrętu, odezwał się młodszy Żurkowski do swego starszego brata:

— Słuchaj bracie! my tej okropnej niedoli nie wytrzymamy! ot przejdźmy na turecką wiarę!

Starszy Żurkowski aż się zatrząsł na te słowa, przeżegnał się tylko i odpowiedział:

— Ej bracie, bracie, jaki ciebie szatan kusi?... Czy chcesz duszę na wieki zatracić?

A młodszy na to:

— Kiedy bo widzisz, bracie, Turcy każdego co na ich wiarę przejdzie, bardzo honorują i robią go zaraz wielkim panem, to i my by na taki sposób wydobyli się z naszej biedy!

— Proś Boga — odpowiedział starszy, aby ci tę grzeszną myśl darował, lepiej nędznie umrzeć w naszej świętej wierze, jak rozkoszować w pogańskiej!

— Ej kiedy bo ty mnie nie rozumiesz — prawił dalej brat młodszy — toć przecież ja nie myślę zostać na zawsze poganinem. Udajmy tylko tak, że ich wiarę przyjmujemy, a wtedy

łatwo nam będzie uciec i znowu żyć po chrześcijańsku.... Toć przecież przypomnisz sobie, że nasz sąsiad pan Jakób Korytnicki uczynił tak samo, jak go Turcy do galer chcieli przykuwać, a potem uciekł i żył przecież aż do śmierci jako dobry chrześcijanin!

Ale starszy brat na to:

— Nie! nigdy jeszcze prawdziwy Polak nie oszukał nikogo a tem mniej Boga! Kto się na jakiś czas tylko wyparł wiary świętej, to już tak, jakby się jej na zawsze wyparł! Wolę ginąć marnie i nędznie, niż wyprzeć się pana Boga i wiary mojej ojczystej choćby na chwilkę jedną!...

I tak począł tłumaczyć dokumentnie młodszemu bratu, jak ciężki to grzech zaprzeć się świętej wiary choćby tylko na pozór, że ten począł żałować swych nieczystych myśli i płacząc przepraszał Pana Boga za urazę.

Od tego czasu obaj biedacy przykuci łańcuchami do okrętu tureckiego pracowali razem z wielu innymi chrześcijanami nad wiosłami, ocierając łzy i żaląc się Bogu swej ciężkiej niedoli.

I tak minęło lat kilkanaście! Dla biednych niewolników to tak jakby ich ze sto minęło — bo człeku nieraz i w szczęściu chwile się znudzą a cóż dopiero na obcej, pogańskiej ziemi, wśród gorzkich trudów i cierpień!...

Nareszcie rozkazał raz sułtan turecki swemu jenerałowi co się zwał Kapudanbasza, aby zabrał wszystkie okręta i wyjechał na bardzo dalekie morze i łapał po drodze chrześcijańskie okręta. Otóż i ten okręt, na którym byli obaj bracia Żurkowscy, popłynął z innemi.

Jak już okręta tureckie kawał drogi upłynęły — aż tu widać — coś zdaleka czernieje się na morzu. Turcy poczęli się przypatrywać i nuż w wielkim strachu poczynają nabijać armaty i fuzye, bo poznali zaraz że to nikt inny, jeno chrześcijańskie okręta płyną z daleka.

Pomiarkowali to i bracia Żurkowscy — ta mówi jeden do drugiego:

— Mój ty mocny Boże! Dziękiż ci za to, że raz przecie przycupią tych pogan chrześcijanie! Toć może i nas wyratują z tego nieszczęścia!...

A drugi na to:

— Oj nie ciesz się bracie, bo jak z okrętów chrześcijańskich poczną strzelać — to może i my marnie i niewinnie od kuli poginiemy!...

I zafrasowali się obaj okrutnie i poczęli się modlić do Pana Boga, a w końcu rzekli do siebie:

— Toć może i lepiej zginąć choć i od kuli chrześcijańskich braci, jak tu nędznie ginąć na łańcuchu u Turka!...

Tymczasem nadpłynęły bliżej okręta chrześcijańskie i już je dobrze widać było. Zaś były to okręta monarchy neapolitańskiego, co się zwał Ossuna.

Jak się już dobrze zbliżyli Chrześcijanie do tureckich okrętów, nuż do nich strzelać z wszystkich armat. Turki też sobie — i poczęła się okropna morska bitwa, że aż woda kipiała i huczała.

Kule chrześcijańskie latały jak grad koło Żurkowskich, ale jakoś ich strzegł Pan Bóg, bo ich żadna ani drasnęła, choć niejednego biednego niewolnika pogruchotały armatnie kule na miazgę.

Włoskie okręta tak dzielnie strzelały na tureckie, że choć tureckich była siła dwa razy większa — to przecież Chrześcijanie zwyciężyli. Zaraz też otoczyły włoskie okręta Turków do koła i wszystkich ich zabrali!

Toż dopiero była uciecha biednych niewolników, gdy zobaczyli, że Chrześcijanie wygrali! Skakało to biedactwo, dzwoniło z radości łańcuchami i dziękowało Panu Bogu ze łzami. Turków zaś taki okrutny lęk porwał, że już nic a nic się nie bronili.

Zaraz więc Włosi rozkuli Żurkowskich i innych niewolników — a na ich miejsca poprzykuwali Turków brodaczów. Potem zaś pojechali razem z zabranemi okrętami do swego kraju, do Neapolu.

Już wam nawet opisywać nie potrzebuję, jak się radowali bracia Żurkowscy, kiedy się widzieli na wolności i między Chrześcijanami!

— No to już teraz wrócimy do naszej ojczyzny, do naszej ukochanej Polski, ta przynajmniej pomrzemy na rodzinnej ziemi! — wołali radośnie.

Ale nie tak to prędko stać się miało. Gdy już zajechali Żurkowscy wraz z Włochami do Neapolu — tak się spodobali tamtejszemu monarsze, że rób co chcesz, puścić ich nie chciał do Polski.

Prosili obaj bracia, błagali, zaklinali — ale Włoch jak nie chce puścić tak nie chce!

— Zostańcie u mnie — mówi — ja takich szykownych ludzi potrzebuję bardzo. Źle wam tu nie będzie a ja przecież nie Turek jeno taki Chrześcijanin sprawiedliwy jak wy!

— Ej Najjaśniejszy Panie — odpowiadali na to Żurkowscy — kilkanaście lat nie widzieliśmy naszej ojczyzny, to już i z tęsknoty wytrzymać nie możem. Wszakżeśmy Polacy a Polakowi bez rodzinnego kraju to chyba już nie żyć na świecie!

— Do waszej ziemi droga daleka — mówi włoski monarcha — nim byście zaszli, zginęlibyście gdzie po drodze! A tu macie wszystkiego podostatkiem, więc nie spieszcie się tak bardzo.

A Żurkowscy na to:

— Lepszy na ojczystej ziemi kawał chleba czarnego niż drogie jadła i napoje w obczyźnie! Pójdziemy o kiju żebranym, aby tylko położyć kości wśród swoich!

Ale Żurkowscy swoje — a Włoch swoje i nie było rady wydostać się z rąk jego.

I tak minęło znowu lat trzy. Biedacy stracili już i nadzieję, że kiedy obaczą ojczyznę. Owo raz gdy tak siedzą i dumają o swojej biedzie i o dalekiej Polsce — aż tu naraz przychodzi do nich urzędnik od samego króla, a za nim niosą pachołcy jakiś tłumok.

— Król wam przyseła te bogate suknie w podarunku — rzecze do Żurkowskich urzędnik i każe rozpakowac pachołkom zawiniątko — ubierzcie się w nie i chodźcie do samego monarchy, bo was pilnie czegoś potrzebuje!

Bracia ubierają się prędko w śliczne, złotem wyszywane suknie i idą za urzędnikiem do zamku. Ten ich prowadzi do

wielkiej przepysznej sali — a w tej sali był sam monarcha i mnóstwo wielkich panów.

Aż się zaciemniło biedakom w oczach od złota i drogich kamieni, co jaśniały na szatach pańskich na wszystkie strony — aż król sam zbliża się do nich i rzecze:

— Czy znacie tego pana?

I pokazał na jakiegoś obcego pana.

Patrzą Żurkowscy aż ten pan ubrany po polsku, w bogatym żupanie i kontuszu i przy błyszczącej karabeli! Zapukało Żurkowskim serce mocno z radości a ów Polak rzecze:

— Jestem Tomasz Zamojski, syn Jana Zamojskiego, z którym wy wyszli z Polski na Turków i nie wróciliście już więcej!

Toż to dopiero była uciecha! Żurkowscy znali Tomasza Zamojskiego jeszczcze chłopięciem, a teraz dorósł już w okazałego mężczyznę! Bo też to i dużo lat upłynęło, kiedy z jego ojcem wyszli na wojenkę!

Jeszcze obaj bracia do słów z wielkiej radości przyjść nie mogą, kiedy monarcha włoski powiada:

— Teraz was już puszczam wolno i możecie sobie jechać z tym waszym zacnym i szanownym rodakiem do Polski!

Przypadli do nóg obaj bracia najpierw włoskiemu monarsze potem Zamojskiemu i płakali jak dzieci z uciechy.

I owo jeszcze tego samego roku wrócili z Tomaszem Zamojskim do Polski; który objeżdżając obce kraje trafił był przypadkiem na nich i pomógł im do powrotu.

Z ojcem poszli bracia Żurkowscy — a z synem wrócili!..

Gdy już stanęli na ziemi ojczystej, obdarował ich Tomasz Zamojski bardzo hojnie, tak że było czem zagospodarować się na nowo i żyć po ludzku. I długo jeszcze, bardzo długo żyli szczęśliwie obaj bracia i opowiadali sąsiadom swoje przytrafunki w niewoli pogańskiej!

Takto Bóg nigdy poczciwych ludzi nie opuszcza!

Wojtek ze Smolnicy.

Pieśń kmiotka.

Żyli dziady i ojcowie,
Mając biedę na swej głowie;
Potem na swiat przyszli młodzi,
Nędza z chaty nie wychodzi!

Choć xiądz pleban w dzwony dzwoni,
Choć chłopkowi grzeszyć broni;
Ten do Sasa, ten do lasa,
Po karczmiskach naród hasa!

Ale ucząc co niedzieli,
Jak nam xięża powiedzieli:
Że grzech spijać się gorzałą —
Ot i w oczach poświetlało!!

I w komorze i w oborze,
Przyrastały dary Boże; —
Miłościwe przyszło lato,
I swobodę dał Bóg za to!

Mamy orać skibę własną;
Cóż gdy w głowach naszych ciasno?
Gdy na lepszej już chudobie
Nie poradzi człek sam sobie?

Jak się sieje? jak się orze?
Co to słonko? co to zorze?
Jak przysporzyć sianka w brogu?
Co dać ludziom a co Bogu? —

Powiadali w dawnym czasie:
„Hej ty chłopku! hej głuptasie!“
Niech tej krzywdy nie powiedzą,
Hej zabłyśniem naszą wiedzą!

Nas znieważać nie powinni,
My nie gorsi jak i inni!
Wszak człowiecza w nas natura!
Hej do xiążki! hej do pióra!

Wł. Syrokomla.

Gadka o wójcie z Domostawy i jego synie.

Opowiedział Skoczek z Gorlic.

(Dokończenie.)

Teraz dopiero prawdziwa nędza. W tem obejściu, gdzie to za nieboszczyka Jacka jeno ptasiego mleka brakowało, dziś się nie ma czem zakropić; gdzie w sadku było z 50 pni pszczół dziś ani płota ani śladu — pszczoły wyginęły a drzewka wyschły, tylko suchy wierzchołek starej gruszy skrzypiał jakby sierota płacząca i wołająca o pomstę do nieba! W tej izbie gdzie to nieboszczka wójtowa wystrojona i wydelikacona jak xiężna stawała przy angielskiej kuchni i warzyła i smażyła różności aż na pół wsi zapach leciał, dziś tam widzisz nędzną, chudą, głodną i brudną, ledwie żywą kobiecinę z dwojgiem małych dziatek, które wyciągały suche rączęta i wołały: Mamo papu! a ona ich tylko łzami mogła nakarmić — nic tam nie słyszałeś jeno pisk dzieci i modlitwę kobiety: „Boże zmiłuj się nad nami — przestań nas już karać, albo nas wszystkich zgładź z tego świata. Gdzie się nasz ojciec obraca? Matko wielkiego miłosierdzia ratuj nas!“ —

Na takie płacze co się po wsi rozlegały aż serce każdemu pękało, schodzili się często sąsiedzi, i czem kto mógł to te sieroty wspomagał, bo byłyby głodną śmiercią padły, a ludzie żałowali tej Kasi ze Studzieńca, że się do takiej przeklętej familii dostała i za cudze grzechy pokutować musi.

A idźmy no do Błacha do kryminału, jaki to on tam nieszczęśliwy. Sumienie go dręczyło, że nie słuchał dobrej żony, że ją bił i marnił wszystko. Przychodził mu na myśl zawsze ojciec, te krzywdy ludzkie, te przekleństwa, a jego nagła śmierć zawsze mu stała przed oczyma. Co noc to mu się śniła żona i dzieci, że się z nimi pieścił, to znowu mu się śniło, że ojciec tonie i jego za sobą ciągnie, rady sobie nieboraczysko nie mógł dać z udręczenia, włosy na głowie targał z rozpaczy i wołał:

— Boże uwolnij mię z tej kary, otwórz miłosierdzie Twoje a będę ci służył wiernie, będę kochał żonę i dzieci, nikomu

krzywdy nie zrobię, wszystkich przeproszę, daruj Ojcze niebieski, nie daj mi zmarnieć tak jak memu ojcu. Matko z Leżajska módl się za mną grzesznikiem — św. Antoni!

Tak się nieborak Błach gryzł w tym kryminale coś blisko z rok, aż jednej nocy miał taki sen: Przyszedł niby do niego xiądz Dominikanin w białym habicie czerwonym pasem przepasany a miał wielką bieleńką brodę i tak do niego przemówił:

— Błażeju, synu Jacka! Ja jestem Jacek, patron twego ojca. Przychodzę ci tu zwiastować wielkie wesele. Oto przez modlitwę i szczery twój żal Pan Bóg miłosierny twemu ojcu i tobie grzechy odpuszcza, i będzie ci wszystko błogosławił, skoro będziesz drogą przykazań postępował. Za przyczyną św. Antoniego, którego wzywasz, jest twoja niewinność wykryta, złodziej tych koni jest już w kryminale, a ty jutro będziesz już na wolnej nodze. Idź do domu, módl się i pracuj, a będziesz w tym i na drugim świecie szczęśliwym. Jak się dorobisz, masz co rok w dzień zaduszny dać kapłanom ofiarę a i 30 ubogim suty obiad. Dziesiąty grosz z twego majątku będziesz dawał ubogim i sierotom. Błogosławię cię!

Gdy się Błażek obudził, wzniósł ręce ku niebu i dziękował Bogu za cudowne objawienie, padł na pryczę i zasnął anielskim snem, aż go żołnierze rano przebudzili i na wolność puścili.

Było to na wielkim dniu; Błach wyszedł rano z Lublina a na ścieżki przez pola i bory wiedział drogę, to też na wieczór już był w Domostawie, choć to dobre 12 mil drogi.

Z jaką uciechą witała żona Błacha, tego nikt nie potrafi opisać: to trzeba nam było tam być przy tem, tobyśmy się byli dość napłakali z radości nad temi biedakami. Błachowa dziękowała Bogu za Jego nieprzebrane miłosierdzie, a męża błagała, żeby pamiętał słowa św. Jacka.

Nazajutrz zeszło się dużo ludzi na przywitanie i co kto mógł to przyniósł dla tych nędzarzy — Błach wszystkich całował, przepraszał i dziękował, że o jego sierotach pamiętali, opowiadał może ze dwieście razy ten cudowny sen, a ludzie dziękowali Bogu, że tę przeklętą familię przypuścił do swej łaski.

Błach zaczął zaraz z siekierą chodzić na zarobek, okrył z tego siebie i swoich kochanych, kupili i krówkę jedną i drugą, koniki, ba! za parę lat niktby był nie dał wiary, że to ten Błach, coś go widział na pogrzebie dziecka.

Otóż jak prędko marniał majątek po ojcu w rękach Błacha, tak teraz Błachowi przybywało jak na drożdżach. Było już wszystko co trzeba w gospodarstwie, nawet młody sadek i pasieka. Była bojaźń boska i miłość ludzka. Przyszło potem Błachowi do głowy, żeby on też umiał czytać. Poprosił on jednego strażnika, co chodził do niego co wieczór i wyuczył jego i dwóch chłopców czytać i pisać prawie za darmo. W Pysznicy na chórze zawsze stawał koło organisty i nawet wszystkie spiewania sam zaczynał.

Jak się komu trafił jaki interes do sędziego a nie miał głowy jakby to tam wyłożyć, to Błach wziął papier i pióro i duchem spisał co kto potrzebował, a tak wyraźnie, że sędzia jeno raz przeczytał i już wiedział.

Mój Boże! jakie to wielkie miłosierdzie Twoje! Za parę lat Błach był najbogatszy gazda we wsi, a serce u Błacha to było anielskie — dziedzic i sędzia nastawali na to, żeby Błacha zrobić wójtem — on się ociągał, ale aż sam xiądz się wziął do niego, musiał zostać, bo nikogo takiego nie było.

Był wójtem ze 20 lat aż do śmierci. Wszyscy go szanowali i kochali, swoich chłopaków pięknie wychował jednego na rolnika drugiego na kowala, zaszczepił w nich miłość boską i ludzką, a o upominku św. Jacka zawsze pamiętał.

W Domostawie gadają, że takiego wójta to nie było i nie będzie jak był Błach, a to najwięcej ludzie rozmyślają, jak to Pan Jezus Jacka pokarał, a Błacha błogosławił.

Otóż uczcie się z tego przykładu jak macie robić.

Bóg zapłać.

Już z góry piędziesią lat temu, gdy pewien młodzieniec chodził do szkół i jak mógł się utrzymywał, bo był ubogim sierotą. To pańskie dzieci uczył i za to dostawał kilka złotych,

to co tam odpisał i też grosz zarobił, zwyczajnie jak mógł pchał biedę i uczył się coraz dalej. A jak to sierotom bywa, głodu się też nieborak nieraz nacierpiał i surduciątko czasem jedyne tylko było a do tego pozszywane, posnukane i wybladłe, iż czasem trudno się już było koloru dopatrzyć.

Był znowu sobie w temże samem mieście i w onym też czasie krawiec, poczciwy katolik, co choć sam biedny, niejednemu pomógł, to suknię załatał, choć wiedział, że za to pieniędzy od biedaka nie dostanie, byle mu „Bóg zapłać“ powiedział, to bywało, że tam jedną starą szmatę bez zarobku biednemu odstąpił a rad był, gdy mu jeno „Bóg zapłać“ się w zysku dostało. Często żona go o to przygryzała a mówiła:

— Sameś biedny, ledwo mam co w garnek wsypać a ty zamiast przecie o siebie się starać, to drugim tam dopomagasz.

Na to krawiec, jako dobry katolik odpowiadał:

— Pan Bóg nam zapłaci, kochana żono, przecie słyszysz, że mi mówi każdy: „Bóg zapłać.“

Dopiero tedy kochana żona nad mężem wymyślać: a ty taki i owaki, żebyś ty lepiej ściągał od każdego, co zarobisz, byśmy głodu nie mieli, bym też mogła i kapelusz sobie kupić i chustkę taką wielką, jak ma pani majstrowa co podle nas mieszka, i tam kto wie co na niego gadała choć w gruncie serca nie zła to była kobiecina, jeno zwyczajnie tak, jak to niewiasty natura, za wiele tam czasem gadała. Krawiec zniósł wszystkie przygryzki spokojnie i jak mógł tak biedę ratował, choć sam też był biednym. Zwyczajnie już miał tak dobre serce i pilnie naśladował Zbawiciela, który wszystkim dobrze czynił.

Było to w wilią Zielonych Świątek; gdy on student siedzi sobie już wieczorem w swej izdebce i jakoś widać, że ma wielkie zmartwienie, bo ni xiążki nie bierze do ręki, ni też co pisać pocznie, tylko zamyślony raz po raz głęboko westchnie, wejrzy na wizerunek Zbawiciela, co na ścianie wisiał, jakby mu łzy stanęły w oczach i czasem jeno wyjęknie: biedny ja biedny! obejrzy surducinę, wyciąga woreczek, płótno w nim samo, tylko pare groszy nędznych się doliczyć może i znowu westchnie a mówi: biedny ja biedny! Aleć gdy tak sobie w izdebce pobolał, bierze czapkę i mówi:

— Niech się dzieje wola Boża, w kościele jutro być muszę, wielka uroczystość, choćbym też całe święta nic do ust nie wziął; nie samym chlebem człowiek żyje, powiedział zbawiciel; dam ten grosz ostatni krawcowi, resztę może poczeka, surdut połata, boć nie podobna z wydartemi łokciami się przecie na miejscu świętem pokazać.

Tak sobie mówił i już dość późno w wieczór a on biegnie do onego krawca, com o nim wyżej pisał, a wszedłszy mówi:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Krawiec się obejrzy i mówi:

— Na wieki wieków, Amen! Witam pana, proszę siedzieć, cóż mi pan powie?

A student na to:

— Panie majstrze, wielką mam prożbę do pana, jutro uroczystość Zielonych Świątek, patrz pan, mój surdut podarty, w kościele być muszę, panie majstrze o litość proszę, narządź mi go pan, mam parę groszy, to je panu dam, o resztę później się wystaram, mniej pan litość nademną!

Krawiec wzruszył się cały, jakoś mu się miękko na sercu zrobiło, ale mówi:

— Z duszy serca, panie dobry, toć pan wiesz, żem zawsze panu sporządzał, ale tego surduta już sporządzić nie podobna, już się jedno drugiego kupy nie trzyma.

A żona zaraz mówi:

— Mąż musi tę kamizelkę skończyć, gdzie tam, już późno w noc, przecie trzeba będzie spać iść nie długo.

Jakby go kto nożem w serce ugodził, westchnął on student, a krawiec widział, że mu dwoje łez po twarzy pociekło i wnet rzecze:

— Kiedy koniecznie ma być, to będzie; idź pan spokojnie do dom, jutro rano już surdut sporządzony.

Już też i żonie jakoś serce zmiękło, bo zaraz dodała: No kiedyć już koniecznie potrzeba, to ja już dokończę kamizelki a ty już weź się do surduta.

Młodzieniec się rozweselił jakby go kto majątkiem wielkim obdarzył, surdut zostawił, spiesznie powrócił do dom i na spoczynek się udał.

Ledwo się niebo na wschodzie czerwienieć poczęło; i jutrzenka dnia przybycie zwiastowała, gdy jeszcze ptaki pochwalnej pieśni stwórcy nie zaśpiewały, zerwał się student ze snu i wnet pobieżał do krawca po surdut. Wszystko spoczywa po dziennych trudach, jeno krawiec pilnie nad surdutem pracuje, już żona kamizelkę dokończyła, dawno spać poszła a krawiec jak szyje tak szyje. Już jakoś dzienne światełko do izdebki zagląda i lampka dogorywa, już wchodzi on student po surdut, Pana Boga pochwali, a cóż, sporządzony? pyta, a krawiec: zaraz będzie — odpowiada, ostatni guzik przyszywam! i wnet rzecze: masz pan, wszak sporządzony. Bóg zapłać! student odpowie. ile winien się pyta i woreczek z kieszeni wydobywa.

— Nic panie, odpowie majster. Za żadne pieniądze, mówi dalej, nie byłbym robił aż do rana, toć przecie człek katolik a jeszcze dziś święto tak wielkie, ale żeś pan do kościoła potrzebował ten surdut: niechże i ta moja nocna praca idzie na chwałę Bożą. Jak pan xiędzem zostaniesz, to pan też westchnij za mnie przy mszy św. I jakby uradowany, że dokazał swego, dodał: Bogu dzięki, żem skończył, było dość do roboty, teraz też panu surdut jeszcze długi czas potrzyma.

— Bóg zapłać, rzecze student tak z głębi serca, jako gdy kto kogo od śmierci wybawi, boćby był musiał łaknąć w same święta, a te groszy parę go dożywią, póki się znowu zarobek nie zdarzy.

Mija lato po lecie, student xiędzem został i tam gdzieś na parafią poszedł, krawiec już się starości doczekał i siwutki jak gołąbek, bo to już łat czterdzieści z górą, jak surdut aż do rana Zielonych Świątek sporządzał, aż tu przyjechał do tego samego miasta, gdzie się to stało, xiądz biskup, co był nowo obranym w stolicy węgierskiej S. G. . . . . Całe prawie miasto wyszło powitać xiędza biskupa, wieńce i kwiaty mu pod nogi rzucają, jako przystoi słudze Pana Niebieskiego. Xiądz biskup błogosławi rzeszę, a gdy w kościele się pomodlił i trochę się u xiędza proboszcza posilił, dopytuje się o onego krawca, siada do powozu, zajeżdża przed dom, w którym on krawiec mieszka, zesiada i idzie prosto do jego izdebki. Wszyscy zdumieni nie wiedzą co to znaczy, idą za biskupem do sieni i patrzą co to będzie? Aż tu biskup drzwi otwiera i zastaje onego staruszka, co mu kiedyś surdut sporządzał, jak tam w okularach coś przykrawa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzecze biskup, a staruszek wejrzy, na kolana padnie a mówi:

— Wasza biskupia Mość pewnie do kogo innego chciał

iść, proszę pokornie o błogosławieństwo, gdy moją chatę zrządzeniem Bożem tak wielkie szczęście raczy.

A xiądz biskup starca z głębi serca błogosławi i ze wzruszeniem rzecze:

— Starcze czcigodny, ja dłużnikiem waszym! przed czterdziestu laty całą noc żeście nad mym surdutem podartym siedzieli.

Dopiero tam staruszek z radości płakać pocznie a biskupa w stopy całować. Biskup też jakoś jakby płakał i staruszka podnosi a wszyscy co na to patrzeli łzy ocierają . . . . Kiedy się tak trochę uspokoili, pyta biskup:

— Żyje jeszcze wasza żona?

A starzec odpowie:

— Nie, już dawno ją Pan Bóg zabrał.

Wtedy biskup:

— Zabierzcie się jeno, ojcze, pojedziecie ze mną i będziecie u mnie aż do śmierci.

Staruszek zrazu dziękuje, ale gdy biskup nalega, wsiadł do powozu i z nim pojechał, był na jego dworze i jadł z xiędzem biskupem przy jednym stole aż do śmierci, która dopiero przed dwoma laty go do wieczności zabrała.

Historya to prawdziwa, mili przyjaciele, działa się za dni naszych na ziemi węgierskiej a choć może niejednemu Pan Bóg tu w tem życiu tak cudownie nie zapłaci, to zapłaci mu w Niebiesiech!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Z numerkiem, który wam dziś posyłamy, mija już właśnie rok piąty, jak Dzwonek nasz zagląda do waszych chatek, kochani ludkowie! Przez pięć lat wydzwania wam ten Dzwoneczek i pociechę w frasunku i naukę w potrzebie i piosenkę serdeczną i nadzieję na lepsze czasy!...

Dzwonek i nadal chce być waszym przyjacielem najszczerszym, drodzy bracia, i zaprasza się do Was serdecznem słowem w gościnę pod strzechy słomianne! Toż nie żałujcie mu kącika w sercu i w chacie i nie poskąpcie z tym małym groszem, co potrzeba na papier i na zapłacenie panom drukarzom. Kosztuje to jeno 1 reński a zabawy i nauki jest na całe sześć miesięcy. Zapisujcie więc rychło na nowo Dzwoneczek i zostańcie z Panem Bogiem w zdrowiu i dobrej doli!

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.